

STUDENCKIE ŻYCIE

Artur Dziak

Tak to, wbrew humanistycznym zainteresowaniom i co więcej – a to już zakrawa na szyderstwo – wbrew wcześniejszym nie najlepszym opiniom mojej matki o Lekarskim Staniu, trafiłem na medycynę! Studia medyczne, szczególnie lata wstępne, zupełnie mnie nie interesowały, nie tylko dlatego, że musiałem kuć głęboko przeze mnie pogardzane przedmioty takie jak fizyka i chemia, ale głównie dlatego, że studia te wymagały bezkrytycznego wbijania w głowę opasłych tomów z dziedziny anatomii, histologii, embriologii i podobnego paskudztwa. A wszystko to było koszmarnie nudne! Gnębiło mnie dodatkowo też i to, że dookoła mnie (a był to najliczniejszy kurs w historii całej medycyny – liczący ponad 450 osób) rzuciła się w oczy mnogość kujonów. Co więcej, to ci właśnie na pierwszych latach brylowali, zadawali szyku, gdyż gładko potrafili wkuwać na pamięć opasłe tomy medycznej wiedzy. W przeciwieństwie do studiów uniwersyteckich i politechnicznych, na medycynie wystarczało jedynie zapamiętywanie olbrzymich ilości informacji, niczego nie rozumiejąc, gdyż rozumowania nikt specjalnie nie wymagał! Wtedy to doceniłem powiedzenie, Einsteina: *Wiedza nie jest najistotniejsza, gdyż wiedzieć to może nawet głupi. Największą wartością jest „Zrozumieć”!*

Uczyłem się z musu, by nie sprawić zawodu mej biednej matce, a poza tym babcia Rozalia już wstępnie oświadczyła: „uczyć się musisz, gdyż wiedza to jedyna rzecz, której Bolszewia ci nie zawłaszczy i nikt nie ukradnie!”. Dodatkową przykrość stanowiło to, że ton nadawali i mieli najczęściej do powiedzenia *koledzy z ZMP**, zazwyczaj genetyczni karierowicze, a ci wyjątkowo sprytnie umieli się maskować ze swym bezmiernym oddaniem idei komunizmu i potrafili przysłużyć się innym, szczególnie jeśli u kogoś wykryto niewłaściwe pochodzenie, na przykład ojca granatowego policjanta czy przedwojennego oficera. W przypadkach takich aktywiści natychmiast zwoływali w Domu Medyka nadzwyczajne zebranie i pa-stwili się godzinami nad Bogu ducha winnymi dziećmi „zaplutych karłów reakcji”. Zebrania takie kończyły się z reguły bardzo późno, w wyniku czego niektórym, tak jak mnie, uciekały ostatnie pociągi do domu i trzeba było nocować na okolicznych śmietnikach.

Wszystko to utwierdzało mnie w przekonaniu, że aby nie zwariować i jakoś przeżyć, trzeba się ukrywać z ideami i zachowaniami opozycyjnymi i jak tylko się

– Trzeba bardzo długo żyć, żeby przekonać się
jak krótkie jest to nasze życie –



Ja z Julą, jako świeżo upieczeni studenci, jest rok 1951!

da, korzystać z uciech i korzyści należnych wiekowi i stanowi studenckiemu poza macierzystą uczelnią gdzie nas obserwowano. W filozofii *ergo Bimbamus* utwierdził mnie dodatkowo wuj Leopold, który mawiał: *Żyj tak, jakbyś grał w karty. Po prostu, musisz zbierać wszystkie możliwe lewy. Staraj się też słuchać uważnie mowy ciała i wszystkich jego podszeptów, i spełniaj natychmiast wszelkie jego zachcianki. Pamiętaj byś nigdy nie zmarnował porannej erekcji! Nigdy nie odkładaj tego na później, gdyż z upływem czasu już nie starczy na nie miejsca. Nie będzie wypadało czegoś tam czynić, by się nie ośmieszyć. Po prostu przestaniesz się do nich nadawać! Tak więc Memento vivere**!*

Teraz, kiedy piszę te słowa, czytelniku wielce łaskawy, kiedy to właśnie już do niczego prawie specjalnie się nie nadaję, widzę, jak mądre i prorocze były rady wuja Leopolda!

Na wykłady chodziło się rzadko, chyba że sprawdzali listę, ale i z tym potrafiliśmy sobie radzić, czy to metodą przekupstwa, czy nawet zastraszania sprawdzających kolegów aktywistów. Jedyną rzeczą której nie można było pominąć były ćwiczenia, ale one z reguły kończyły się około godziny dziesiątej, więc po tej godzinie człowiek stawał się wolny. Przeżycie ułatwiała już od pierwszych dni zgrana grupa kolesiów o podobnych zainteresowaniach sportem, jazzem czy zwykłą pogardą dla komunistycznego systemu.

Zwykle po dziesiątej spotykaliśmy się w Punkcie Kontaktowym, celem zorganizowania dnia. Punktem tym było mieszkanie położone w świetnym rejonie miasta – przy Placu Zbawiciela, które udostępniał nam wspaniały kolega – Andrzej N.

* Związek Młodzieży Polskiej.

** Pamiętaj by żyć (używać).

Nie wiem, jakim to zrzędzeniem losu, mimo szalejącej socjalistycznej cenzury, można było pod koniec lat czterdziestych obejrzeć, od czasu do czasu, w Atlanticu zupełnie niekiepskie filmy w rodzaju *Jessie James* czy *Gunga Din*. Naturalnie, filmy te oglądaliśmy po kilkanaście razy, a do *Gunga Din* dorobiliśmy nawet wzięty szlagier, który śpiewano na melodię standardu jazzowego *Sentimental Journey*.

Pieśń była długa i smaczna, że przytoczę tylko jej dwie końcowe zwrotki:

Gunga Din zakochał się w Maupie*,
a Maupa w Gunga Din,
Gunga Din podrapał się po dupie,
A Maupa razem z nim.
– Gunga Din miał pederastę wuja,
Co zamiary wcielał w czyn.
Gunga Din miał ogromnego chuja,
Więc oprawiał wuja nim.

Niestety, dobre filmy stanowiły rzadkość, zaś na filmy polskie staraliśmy się w ogóle nie chodzić, gdyż stanowiły oczywiste dziadostwo. Pamiętam, kiedy swego czasu dumna Polska kinematografia wypuściła gniot pod tytułem „*Uczta Baltazara*”, w Życiu Warszawy ukazała się recenzja, krótka ale jakże treściwa: „*Nie Uczta Baltazara – filmować się ucztą!*”

Ponieważ filmy w Atlanticu rzadko były zmieniane, niejednokrotnie już wcześniej zaczynaliśmy balować, szczególnie jeśli pora roku nie pozwalała korzystać z basenu Legii, Plaży Miejskiej czy Przystani Żeglarskiej w Porcie Czerniakowskim. Jedyną niewygodę stanowiło to, że *Jarecka* (terminem tym opatrywano w tych czasach mamusię) wracała z pracy około godziny 15.00, więc trzeba było na czas po sobie posprzątać i się zwinąć. Zdarzało się i tak, że rozbawieni maruderzy musieli wyrwać przez okno, kiedy *Jarecka* przekręcała klucz w zamku. Nie było to trudne, gdyż mieszkanie było na parterze. Pewną niewygodą *chaty* było to, że pozbawiona była ona WC i trzeba było korzystać z wygodki na podwórku, na której drzwiach widniał napis *Klucz u dozorcę*. Dozorca, pan Sięga, jak każdy wsiowy, czapkował tylko, niestety, przed jednym Bogiem, a nim były pieniądze, co było nieco uciążliwe, zważywszy, że trzeba było uiszczać za siebie i spraszane damy.

Słynne zawołanie Franciszka Villona: *Gdzie grosz wasz idzie, kto pamięta, wszystko na karczmę y dziewczęta*, wypisane mieliśmy na naszych sztandarach, mimo że ZMP proponowała coś zupełnie przeciwnego. *Gdzież te niegdyśiejsze czasy* – pytamy siebie sami, cytując nadal Villona, my, relikty czasów minionych, kiedy to nadludzkim wysiłkiem udaje się niekiedy zebrać przy stole paru jeszcze żyjących nie-

dobitków i tych, którym żony nazbyt energicznie nie zabraniają się spotykać z tym Dziakiem, Borowiczem, Bilińskim czy Baleronem!

Bawić się można było dlatego, że mimo wszystkich opresji i duszenia życia zabawowego studenci cieszyli się w społeczeństwie wielką sympatią. Dzięki temu można było o każdej porze dnia i nocy wstąpić do ekskluzywnej restauracji czy kawiarni i zawsze natrafić na jakąś życzliwą duszę, która zaprosiła do stolika i szczerze ugościła. Balowanie tego typu nazywane było: *Na wydrę* albo *na Krzywy ryj*. Taki był po prostu styl życia i *raison d'être*. Naturalnie, nie było to trudne, gdyż porządne lokale rozrywkowe można było zliczyć na palcach jednej ręki.

Studiowało się tak, by możliwie najmniejszym wysiłkiem zaliczyć poszczególne lata, a nie dla stopni czy *Czerwonego Indeksu*. Filozofia ta umożliwiała nam prowadzenie życia godnego studenta, dzięki czemu jest choć co wspominać, a to – jak mawiał mój ojciec „*umożliwia na starość przebywanie nawet w nieopalonym domu, gdyż wspomnienia grzeją człowieka od środka*”.

Przed kilkoma laty, kiedy w Polsce nastały zwyczaje państwa kapitalistycznego, stała się rzecz przedziwna. Otóż student zdający u mnie egzamin, kiedy zabrałem się do wpisywania mu do indeksu czwórki, zapytał, czy może „przyjść jeszcze raz – celem polepszenia oceny”? W tym momencie zupełnie oniemiałem, gdyż ja po otrzymaniu zwykłej trójczyny przepełniony byłem bezmierną wdzięcznością do egzaminatora oraz olbrzymią porcją szacunku dla samego siebie z osiągniętego sukcesu. Kiedy zapytałem go, po co, dlaczego chce powtarzać, wyjaśnił:

Wszyscy teraz zbierają tylko najlepsze oceny, gdyż od tego zależeć będzie otrzymanie pracy!

Ale to nie było najgorsze. Dobiła mnie wiadomość uzyskana od moich wnuczków „studiujących” w Szkole Powszechnej, że u nich jest to samo!

– Ty lepiej idź i zapal świeczkę w kościele przed ołtarzem Bożej Matki – powiedziała moja matka, że miałaś to szczęście uczyć się i studiować w czasach, w których mogłeś przeżywać słodkie dzieciństwa i rozkosze wczesnej młodości.

Kiedykolwiek jestem w kościele – ostatnio coraz częściej – ale by żegnać bliskich i znajomych, przypominam sobie słowa mej matki i odruchowo zwrócony w stronę figury Bożej Matki wypowiadam w myśli słowa dziękczynienia, że przypadło mi szczęście życia w czasach, gdy nie było „*wyscigu szczurów*” i dziecko mogło być dzieckiem, a młodzi ludzie po prostu ludźmi, a nie *wyrachowanymi, młodymi pierdzielami!*

* Małpie.